



# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

## OSOBISTE WSPOMNIENIE

### Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

**Martę Somerville.**

(Personal recollections from the life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dalszy ciąg).

Z wesołym życiem pięknej panny, nie ginie w Maryi zamiłowanie nauki. Dziwnie umiejętna mądrość pozwala wszystko pogodzić i czyni z uczonoj kobiety postać niewymownie sympatyczną. wszechstronnie rozwiniętą, żyjącą całą pełnią istoty swojej. Zimy w miescie były więcej dla ludzi, dla świata, dla chwywania w siebie myślą inteligentną wiedzy życia, dla ścierania się wreszcie z ruchem żywych spraw ludzkości, które wtedy w wielką wkraczały fazę (rewolucya francuzka), a dla których ognisty duch szkockiej dziewczycy, pięknej Róży Jedwoodu, gorącym przenikał się zapalem. Lato zaś, to cicha pora skupienia się, pracy i nauki — używania innego. Ma już teraz obok siebie przyjaciółkę, darzącą skarbem niewyczerpanych rozkoszy, przyjaciółkę, która zastąpiła ptaszki w ostach i kwiatki na wrzosowisku — sztukę. Muzyka i pędzel, to dwie wielkie, a jawne, dozwolone radości życia Maryi; ale istnieje zawsze dawne ukochanie skryte, miłość tajemnicza — książka, nauka, nie-szczęśliwa a nie zapomniana nigdy matematyka, Euklides. Marya najpierw rozstała się na długo i nie ujrzawszy już więcej, straciła na zawsze w Indyach starszego brata Samuela, gorąco kochanego towarzysza dzieciństwa, ale w to miejsce przybył drugi,

młodszy od niej, Henryk, a jego nauczyciel domowy stał się sprzymierzeńcem i pomocnikiem młodej dziewczyny. Wykształcony klasycznie, nie mógł jej wiele pomagać w naukach matematycznych i przyrodniczych, ale zawsze coś dopomógł: na przykład przywiózł z miasta Euklidesa, przywoził inne potrzebne książki i oto skrzydła młodego ducha zaczynają rozwijać się do właściwego sobie lotu. Marya pisze, że nawet w zimie, w miescie wstawiała bardzo rano, aby się uczyć, owijała się dla ciepła w kołdrę i tak czytała, póki inni nie wstali; lecz z czasem i to jej nie starczyło. „Nie dziwnego, że kamienie świec tak prędko wychodzą, skoro miss Marya siedzi, czytając po nocach“ — pokażyła raz służącą przed matką i zapadł wyrok zabierania światła z pokoju, skoro tylko miss Marya się rozbierze. Ale nie to nie przeszkodziło nauce: leżąc po ciemku egzaminowała się z tego, co umie, powtarzała sobie na pamięć formuły matematyczne i zagadnienia wyższego rachunku, przyczem zauważyła fakt godny uwagi ze strony rodziców i nauczycieli. — Miałam zawsze — pisze — i mam dotąd stanowczą wytrwałość w pracy, ale spostrzegłam że daremną jest rzeczą zajmować umysł dłużej, nad pewną miarę czasu. Uzuwałam wtedy zmęczenie i więcej złego niż dobrego mi to przynosiło, to też, gdy spotkałam jaką trudność, w algebrze naprzykład, zamiast rozbić ją uparcie, aż do oszołomienia myśli (till I was bewildered), odkładałam po chwili zadanie, brałam robotę ręczną, albo jaką zajmującą książkę i wracałam do przedmiotu dopiero z czasem, gdy umysł stał się świeżym. Poezja była dla mnie wielką pomocą (resource) w podobnych okolicznościach, ale później już czytywałam też i powieści: „Stary angielski baron“, „Tajemnice Udolpha“, „Romans w lesie“. — Niezmiernie lubiłam fantastyczne, czarodziejskie powieści o duchach... Nie przeszkodziło to przecież poważnie myśli i chęci naukowych; żywość i poetyczność wyobraźni, nie stanęła na przeszkodzie uczoności, nie zubożyła matematyki, a ubogaciła kobietę, czło-

wieka, dając zapal i pewną bohaterskość uczucia. — „Oddałabym była życie, aby nie dopuścić wyładowania Francuzów na ziemi szkocką“ — pisze w jednym ustępie wspomnień młodych i do naj-sympatyczniejszych stron jej osobistości należy żywy interes w politycznych, społecznych sprawach świata. Dlatego nie stała się nigdy pedantką, dlatego — dla gorącości uczuć swych serdecznych — młodość jej przedłużyła się po za zwykłe granice, bo starość — to zima życia, wychłodłe serce i myśl zubożeniła. Córka pisząc o jej kochającym usposobieniu, o poświęconem dla innych sercu i wielkiej dobroci, wielkiej czułości i łagodności dla ludzi, dodaje: — „Była jednak zdolną zapalać gniewem, skoro oburzyła ją niesprawiedliwość, ucisk, lub okrucieństwo jakieś popełnione nad człowiekiem lub zwierzęciem. Również wzruszała się żywo, gdy ktoś dotknął to, co jej było drogim i chociaż więcej nieśmiałego, w liczniejszym towarzystwie na bok usuwającego się usposobienia, była wtedy zawsze odważną na swój spokojny sposób“.

Bohaterskie odznaczenie się jej ojca w bitwie morskiej z flotą holenderską pod Camperdown, za które został mianowany lordem i wice admirałem, przypadło w latach jej pierwszej młodości — w siedemnastym roku — przeniknęło jej serce słodką dumą, pełną szlachetnego wzruszenia i poetycznego zapalu, który sympatycznie czytelnika pociąga. Do bardzo pięknych, w moim przekonaniu, szczegółów jej życia należy drobny fakeik, kiedy raz zamiast potrzebnego jej szala, kupiła sobie obraz przedstawiający czyn jej ojca, ten historyczny moment, gdy zwyciężony admirał holenderski de Vinter, oddaje jej ojcu swój pałasz, na pokładzie angielskiego okrętu „Venerable“. Było to zaraz po pierwszym jej zamążpójściu za Samuela Greig, też jej krewnego, gdyż dwa razy szła za mąż w rodzinie. — Młoda pani dostała z domu rodzicielskiego wyprawę jedynie, i to jeszcze wyprawę bardzo skromną, bo przy pozycyi rodziców, którą utrzymać trzeba było, przy stosunkach towarzyskich, nie starczyło na in-

na, mimo całej zabiegliwości matki. Tylko bielizna, oddawna skrzętnie przygotowana, była piękna, cienka i w znacznej liczbie, ale gdy młoda pani miała już wyjeżdżać z mężem do Londynu, pokazał się brak ciepłej okrywki i matka dała jej wtedy dwadzieścia funtów szterlingów na kupienie sobie szala. Ale gdy w Londynie zwiedzała akademię malarską, zobaczyła wyżej wymieniony obraz pędzla Artura Shee. Podobieństwo ojca było wielkie, obraz można było nabyć za dwadzieścia funtów i stała się rzecz — którą może jakaś wyrachowana dama nazwie nierozsądkiem — obraz został nabyty, a ciepły szal przepadł!... Ale przysłówie powiada, że Bóg jest nad nierozsądnymi — tego rodzaju. Starszy brat jej męża, lord Alexis Greig, który był dowódcą rosyjskich sił morskich na morzu Czarnem, przybył do Londynu dla poznania bratowej i przywiózł jej w podarku ślubnym kilka garniturów futer, które „były bardzo pożądane“. Tak więc sprawa załatwiła się szczęśliwie, a w dodatku było kilka gorących, szlachetnych uderzeń serca w piersi młodej, było podniesienie się ducha kobiety nad gałganek, a w rodzinie została relikwia droga. Marya Somerville zostawiła ten obraz patryotycznego czynu dziada lordowi Wiliamowi Jerzemu Fairfax, bratankowi swemu.

Zamężcie jej przypadło na dwudziesty trzeci rok życia i w krótkości jest podane. Samuel Greig był krewnym lady Fairfax, przybył z Czarnego morza dla odwiedzenia rodzinnego kraju, został przyjęty w Burntisland jako krewny, pokochał piękną kuzynkę, a gdy dopełnił położonego sobie warunku porzucenia służby obcej, zaślubił ją i zamieszkał w Londynie. Małżeństwo trwało tylko lat trzy i mało znany jego dzieje. Młoda małżonka zamieszkała w Londynie w kawalerskim domu swego męża, bardzo szczupłym i niedogodnym, przepędzała prawie całe dnie samotnie i choć miała teraz czas wolny do nauki i prowadziła wciąż matematyczne i inne studia, działało się to wszystko „pod bardzo niekorzystnymi warunkami“, gdyż fałszywą jest wieść, którą po śmierci Maryi Somerville podały pisma, że to mąż jej pierwszy dał poparcie naukowemu zajęciom młodej żony, to jednak nie lubił ich, nie wierzył w zdolności umysłowe kobiety i sam nie miał ani wyższego wykształcenia, ani w ogóle gustu do książki. Marya brała przecież lekcje języka francuskiego, aby nim mówić mogła. Bóg dał jej dwoje dzieci, dwóch synów, których sama karmiła. Mąż umarł, gdy młodszy syn ledwo na świat przyszedł; czytelnik napotyka tu we *Wspomnieniach* przerwę. Po pierwszych wzmiankach o położeniu młodej małżonki, przychodzi żałoba wdowy, którą córka z następnego małżeństwa krótko obwieszcza, a pamiętniki zaczynają się znowu dopiero z powrotem Maryi do Szkocji, do domu rodzicielskiego, gdzie przepędziła cały czas wdowieństwa. Wróciła bardzo chora, zblała, smutna, z sierotką małąką u łona. Synek ten wkrótce umarł; starszego — który był zawsze bardzo drogi matce i którego chowała i kształciła bardzo starannie — przeżyła także, już sama sędziwa, gdyż umarł w 1865 r.

Młodej wdowie rodzice dali zupełną wolność czynu i wkrótce, gdy przeszedł czas pierwszej boleści, oddała się z zapałem naukom, teraz już swobodnie i systematycznie prowadzoną. „Był to — pisze — najświetniejszy peryod w rozwoju *Edyuburskiego Przeglądu*; redakcję składało grono ludzi wysokich talentów i nauki“ i Marya znalazła się teraz w swoim żywiole — w ognisku odpowiedniej jej pracy i zajęć naukowych i literackich. *Wspomnienia* w tym ustępie muszą być wielce ciekawe dla angielskich czytelników, Marya bowiem była w stosunkach ze wszystkimi uczonymi Szkotami tej epoki, gromadzącymi się w Edyuburgu, który — jak pisze — był wtedy „prawdziwą stolicą Szkocji“. Stanowiło to w ogóle ciekawą stronę książki, że Marya dając od tego czasu — jest ciągle w stosunku z najznakomitszymi ludźmi świata. Poszedłszy drugi raz za mąż, podróżuje po Francji, Włoszech, zawiera znajomości z uczonymi i w ogóle niepospolitemi osobistościami, poszukuje światła i sama też jest poszukiwana, jako gwiazda pełnego rzetelnego blasku. Ow mąż drugi, a brat jej cioteczny, Wiliam Somerville, człowiek wyższego naukowego wykształcenia, czuł przyjemność takiego towarzystwa, ceniał wyso-

ki umysł żony, chlubił się jej naukowem stanowiskiem i rad przebywał w pośród tych, których ta naukowość jej ścigała. Zajmujące jest wspomnienie o Walter Skocie, który był dawnym przyjacielem Somervilleów, o Johnie Hershel i jego rodzinie, wreszcie o wielu uczonych kobietach i literatkach, które Marya w biegu życia swego spotyka. Wchodziła zaraz z nimi w stosunki i dawała im miejsce w pamiętniku swoim, gdyż żywo pragnie zadać kłam przesadowi „niesłusznemu, niesprawiedliwemu“, jak kilkakrotnie powtarza — jakoby umysł kobiety nie był zdolnym do wyższego wykształcenia, wyższych polotów myśli, a uczuwanie tego pragnienia stanowiło rzecz nieprawidłową, niezgodną z kobiecością i przymiotami, które są tej kobiecości istotą.

Sama była tego żywym zaprzeczeniem, a mimo to nieraz w najbliższym swem kole znajdowała surową umiłowań i gustów swych krytykę. Naukowe jej zajęcia, za czasów wdowieństwa jawne już i nieukrywane, sprowadzały jej też jawną i nieukrywaną niechęć w rodzinie. Młoda, piękna, swobodna i podobnać się mogąca, obrała przecież ciche schronienie w rodzicielskim domu, chowała dzieci z troskliwością największą, ograniczając się bardzo małym kółkiem stosunków towarzyskich, a jednak ta praca umysłowa, której poświęcała resztę od obowiązków pozostałego czasu, drażniła ludzi. Uważaliby to przecież za rzecz najzupełniej prawidłową, gdyby czas ten poświęcała nieużytecznym zabawom i rozrywkom; czyż więc w interesie rodziny i jej świętych zobowiązań występuje większa część zbyt gorliwych obrońców kobiecości w sprawie kobiety i nauki? Marya mimo swej wielkiej łagodności w sądach, wielkiej wstrzemięźliwości w dotykaniu stosunków rodzinnych, pisze przecież o tym ustępie swego życia: „Gdybym zamieszkała w mieście, prowadziła byłaby dom oddzielny, wesoły, w którym bawiłyby się młode panny, kochano-by mnie wtedy.“

(Dokończenie nastąpi).

## POGAWĘDKA.

W Warszawie ruchu wiele — niezwykle, dawno niewidzianego ruchu. Wzniesła go naokoło siebie wystawa plodów i przetworów rolniczych, otwarta d. 15 b. m. Jest to uroczystość nie tylko wewnętrznie-krajowa, lecz i międzynarodowa. Mamy w murach swoich wystawców i ciekawych nie tylko z prowincji, ale i z zagranicy. Tych ostatnich nie wielu. Cudzoziemcy mało przedmiotów pracy swej nadesłali, jeśli odrzucimy maszyny angielskie, a do tych znowu każdy fabrykant posiada osobnego swego agenta w Warszawie, który go na wystawie zastąpił, tak, iż sam Anglik przyjeżdżać nie potrzebował. Wielu na taką reprezentację utyskuje — szczególnie z klasy producentów-żywcicieli. „Co Anglik — to Anglik! — mówią — wydałby więcej pieniędzy, o pieniądze tu bowiem chodzi jak zawsze i we wszystkim na świecie. Anglo-saksońskiego więc plemienia nie wiele; Niemcy zbyt nami pogardzają, aby się przed nami popisywać mieli; nawet wyroby przemysłu niemieckiego w Warszawie oznaczone napisami: „Böhmer. Warschau“ zwabić ich na wystawę nie mogły. Z pomiędzy nielicznych wystawców niemieckich jednemu oddałbym pierwszeństwo: temu, który nadesłał okazy z uprawy kartofli. Sto dwadzieścia kilka odmian na piaskach dalszego Pomorza czy też Brandeburgii wyhodowanych z jednego gatunku rośliny: co za bogactwo! Co za potęga! dodajmy, skoro mowa jest o kartoflach i stosunku ich do Niemiec. Bo kto wie, czy kiedyś historyzofia ekonomiczna nie wykaże jak na dłoni, iż Niemcy z kartofli wyrosły. Słusznie więc teraz pracy nad nimi, pieczołowitości, skrzętności naukowej na każdym kroku dowodzą: z ich strony to akt sprawiedliwości, a przytem ciągle pamięć o sobie. Te ośmieszane kartofle przedstawiają — do czasów księcia Bismarcka przynajmniej przedstawiały — pracę i oświeconą niemiecką w obec, powiedzmy prawdę, naszego lenistwa i naszego życia nad stan. Dziś

mogło się to trochę zmienić, bo i Niemcy z dorobkiewiczów wyszli na wielkich panów — i my zaczynamy powoli, do pracy się garnąć i do rozumu przychodzić. Wystawa rolnicza w tym roku odbywająca się dobrze świadczy o rozbudzonej duchu pracy, pracy umiejętnej, jaką właśnie była zawsze i jest dotychczas praca niemiecka.

Zjazd na wystawę zawiódł oczekiwania tych, którzy spodziewali się kilkudziesięciu tysięcy przyjeźdźców, a koszta żywienia i bawienia gości likwidowali z góry na miliony. Ale dla ludzi miernych wymagań i niezbyt lotnych imaginacji to, co jest, wystarcza. Miasto przybrało inną fizyognomję. Wystawa stanowi sprawę publiczną, daje powszechne zajęcie. Wiele kart różowych na domach pochowane się musiało, dzięki jedynie swemu kolorowi, bez zarumienienia się; mieszkania znalazły się w hotelach i w punktach bliżej wystawy położonych; a widzieliśmy karty opiewające mieszkania prywatne do najęcia aż w końcu ulicy Elektońskiej — bajeczna już okazała się ilość od Placu Ujazdowskiego, na którym się uroczystość międzynarodowa odbywa.

Dla ubawienia gości pp. dyrektorowie teatrów ogródkowych przedłużyli pobyt swój w Warszawie; p. Trapszo nawet przeniósł się z Alhambry do Tivoli, wskrzesił na scenie swojej zamarłego już przed trzema laty kankana. Spodziewa się pewno za to uznania — ale niewiadomo od kogo i w jakiej formie mógłby je otrzymać. W Dolinie Szwajcarskiej rozpoczął produkcyę swoje dramatyczno-chooreograficzne teatr francuzki, którego główną zasługą jest to, że sobie drogo płacić każe. Obok Doliny Szwajcarskiej i w sąsiedztwie tego teatru ulokowała się menażerya — jedno i drugie o krok tylko jeden od wystawy. Teatra stałe dają po dwa przedstawienia dziennie, dawałyby jeszcze trzecie, gdyby jedna z widowni nie była obecnie odnawiana. To wszystko *in gratiam* wystawy — a dla wypełnienia własnych kieszeni. Biedni nawet pamiętają o wystawie i o nadarzającej się im sposobności do zarobienia nędznego grosiwa. Na korzyść wszystkich instytucji dobroczynnych wszelkich wyznań w Warszawie istniejących, odbyło się w sobotę wieczorem ogólne, bezpłatne spacerowanie po ogrodzie Saskim, z płatnem ciągnięciem losów. Co na tem biedni zarobili — sprawozdania powiedzą. Zabawa miała charakter wielce demokratyczny: każdy sobie wchodził i wychodził, ale nie każdy, jak zauważyliśmy, przed kołem fortuny stawał. Może się biedni przerachowali? — zobaczemy. Wydatki na urządzenie zabawy nie były wielkie: trawniki w środkowej części ogrodu skromnie poobwieszono szlakami z lampek fojowych, ubrano takimiż lampkami górę, na której wznosi się świątynia grecka, w prozaicznym języku nieużyteczny dziś, skutkiem popękania murów, rezerwoar na wodę. Na dalszych ulicach poustawiano po kilka lampek innego stylu; najdalsze pozostawiono bez żadnego oświetlenia. I jakoś się bawiono — cheiano się bawić, mówiono to sobie i bawiono się. Była też uciecha z ogni bengalskich, które na kilku punktach spalone, dzieciom szczególniej się podobały. Deszcz wisiał ciągle nad głowami spacerujących — lecz ze względu na wystawę dał pokój. Niedługo i te loterye fantowe w ogrodzie Saskim bywały istnieniami wystawami — i jakimi jeszcze wystawami: pięknych twarzy, sukien i kapeluszy! Teraz każdy poszedł tak, jak chodził ubrany przez cały dzień — kilkadziesiąt tysięcy rubli zostało w kieszeniach ojców rodzin; za co twórcom pomysłu należy się od tych ojców niewątpliwe podziękowanie. Wychodząc z ogrodu pomyślałem sobie: przecież że raz już znikną te białe powapnowane budy, które czyniły ogród, tak niemiłosiernie doświadczany przez obecne lato, raczej placem jarmarczonym niż ogrodem. Jakby to dobrze było ustawiać je na zimę a rozbierać na lato! Cóż, kiedy biedni... Coby biedni zrobili bez loteryi? Byliby tak, jak i są, biednymi.

Gdybym był reporterem którego z pism codziennych, mógłbym wam na pewne powiedzieć: czy i w jakich warunkach odbyła się lub odbędzie projektowana zabawa tegoż samego jak powyższa popokroju, lecz w miejscu daleko na nią odpowiedniejszym — w parku na Pradze. — Same zabawy wystawowe! W niedzielę mieliśmy koncert na dochód rodziny pozostałej po s. p. Stanisławie Moniuszce. Dyrekcya teatrów warszawskich czci dostatecznie pamięć zmarłego pieśniarza, gdy oddaje rodzinie jego miejsce i siły, jakimi rozporządza, do użytkowa-

nia na cel miłosierny. Lecz czy pamięć ta, przez ciągle wyciąganie ręki do publiczności, odbiera dla siebie to, do czego ma prawo z innej strony, zobowiązanej więcej jeszcze do czci rzetelnej niż zwierchność teatralna—to pozostawiamy rozstrzygnięciu samych interesowanych materyalnie w koncercie.— Są we wszystkim granice, szczególnie w uczuciach tego rodzaju, do jakich się spadkobiercy ś. p. Stanisława Moniuszki odwołują.

Dla uciechy także gości przybyłych z daleka i z bliska p. Frieman urządził w poniedziałek koncert na skrzypcach. Artysta ten zdolny doczeka się może nareszcie pełnej sali, bo go u nas fatum jakieś przesładuje i najczęściej przy pustych ławkach grać mu każe.... Lecz są nieszczęścia na świecie.

Nieszczęściem jest naprzykład dla dziennikarzy w chwili obecnej to, że nie mają drugiego jeszcze księcia Norfolk, z któregoby tajemnicę przed publicznością zdjąć mogli. Ten książę Norfolk — jedno z największych nazwisk w Anglii — nie mało nakręcił głów ciekawym. Tłumy za nim chodziły po wystawie, podając sobie z ust do ust genealogię arystokraty angielskiego, mówiąc z po za jak dalekiego morza przyjechał, jak wysoko na drabinie społecznej Albionu siedzi, ile ma już nie kluczy, ale hrabstw całych w swem posiadaniu, ile funtów (sterlingów) co minuta na wagę jego życia spada.... Łażono i mówiono — dopóki wypadek nie przekonał, że książę jest pospolitym szlachcicem, tak jak każdy inny, a ma tylko.... zarost angielski. Taka to genialność tłumów! *Książę Norfolk* pozostanie historycznym dla Warszawy.

\* \* \*

Przy nadzwyczajnej łaskawości nieba, które w drugiej połowie września daje nam letnie pogody, wystawa licznie bywa odwiedzana. Codziennie od środy do soboty włącznie bywało do piętnastu tysięcy osób. Biegli w arytmetyce wystawowej twierdzą, że ta liczba wyobraża jedną piątą część tłumów, które w zeszłym roku nawiedzały codziennie wystawę wiedeńską. O mniejszy lub większy miannownik ułamku spierać się nie będziemy. Na Warszawę, mającą w swych murach tak mało ludności, któraby się rzeczami ogólnymi zajmowała, — piętnaście tysięcy to i tak dobrze. Niedziela zwalnając robotników od pracy dała im czas na obejrzenie wystawy: większe obniżenie ceny do *minimum*, jakie naznacza naprzykład Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych byłoby na dzień niedzielny pożądane. Dobry przykład dało ogółowi przemysłowców w kilku tutejszych fabrykantów przez zakupienie biletów dla swych robotników. Wydatek czterdziestu groszy znaczy wiele dla człowieka, który najwięcej rubla dziennie zarabia.

Urządzenie wystawy odpowiedziało w zupełności oczekiwaniom. Znaczna część planu wystawy, tam gdzie się mieszczą okazy przemysłu rolnego i martwe wytwory samego rolnictwa, zamienioną została w ogród bardzo elegancko urządzony. Gęsto poustawiane ławki dają spoczynek strudżonym. Na placach pomiędzy gazonami wznoszą się ozdobne pawilony, zbudowane kosztem samych wystawców. Na środku placu stoi dom komitetu wystawy nie dość gustowny. Drzewa i kwiaty wystawowe służą do przystrojenia placu i grają rolę roślinności w zaimprovizowanym ogrodzie. Wszystko, co tak małym funduszem, jaki był na wystawę wyznaczonym, zrobić się dało, zrobiono. Nie słyszełmy jeszcze jednego słowa niezadowolenia.

Wystawców jest z górą sześciuset, przedmiotów zaś wystawionych około 25,000. Byłoby jeszcze więcej, gdyby nie wyłączenie tego co się z rolnictwem choćby najpośredniej nie wiązało. Chociaż i tu narzekać nie można. Bo i jakżby naprzykład związek z rolnictwem mają buciki kotylionowe panny Nassius, lustro braci Lesser, biurko chińsko-japońskie p. Rühl, lub maszyny do szycia nie u nas wcale wyrobione nie do rolnictwa służące, — a jednak wszystkie te przedmioty i wiele im podobnych oglądaliśmy na wystawie. Osobiście najlepiej nam się podobał dział machin krajowych i zagranicznych, jakoteż inwentarzy. Takiego doboru machin rolniczych nie było ani na obu wystawach powszechnych w Paryżu i Wiedniu, ani też oddawna już na wystawach specjalnie rolnictwu poświęconych, jakie w krajach sąsiednich odbywano.

W tem miejscu zatrzymuje się, aby zamiast wzmianki o wystawie nie napisać przeglądu wystawy, do czego mnie wcale redakcyja nie powołała. Myśli ona jednak, o ile wiem, o zarządzeniu potrzeby czytelniczek i szczególnie pracę kobiet na wystawie pragnie bezstronnie ocenić. Ach, ta praca kobiet! W braku jeszcze katalogu — którego nieukazanie się do końca zeszłego tygodnia stanowi jedyną czarną stronę Administracyi wystawowej — otóż w braku tego katalogu nie mogę podać liczby dokładnej wystawców kobiet. Naliczyłem dwadzieścia nazwisk, z tych cztery wiadome już jako na grodzone za produkcję w dziale ogrodowizn. O ile ta produkcja była własną pracą i własną zasługą — o tem wiedzą same wystawczynie. Obawy moje nie były płonnemi produkcja kobieca na wystawie rolniczej w tak szerokim zakresie wcielającej w siebie dzieła przemysłu jest prawie żadną. Jakiś ananas, gruszka, morela, brzoskwinia, jakaś konserwa, są tak małego znaczenia, że lekkością swoją szali sądu nawet nie wzruszą. Jeśli są jakie ślady pracy to należą one do kobiet włoskich i mało-mieszczańskich. Kobieta z dworów wiejskich nie wystąpiła wcale w granicach tego, do czego jest społecznie zobowiązana. Samo obejrzenie przedmiotów wystawionych dostatecznie o tem przekonywa.

\* \* \*

Na zaproszenie nasze w Pogawędce Nr. 29 Bluszczu pani Aleksandra Parczewska nadesłała nam programat założonej przez siebie w Kaliszu i zatwierdzonej przez Władzę rękodzielną, która z d. 1 września funkcyonować już zaczęła pod nazwą „Pracowni rzemieślniczej dla kobiet.“ O ile z programu i materyalnych warunków nauczania wiziemy, będzie to zakład praktyczniej i przystępniej o wiele urządzony niż podobny zakład p. Łojki w Warszawie. „Bluszcz“ chętnie otwiera kolumny swoje dla ogłoszenia uwiadamiającego o otwarciu pracowni; czytelniczki znajdą je na ostatniej stronce pod rubryką zwykłej kroniki. Ponawiamy jeszcze raz prośbę do zarządów wszystkich stowarzyszeń i zakładów pracy kobiecej w kraju istniejących, o nadesłanie Redakcyi „Bluszczu“ wszystkich szczegółów urzędzeń, tak pierwotnie wprowadzonych jakoteż i w skutek nabytego doświadczenia i okoliczności zmienionych. Redakcyja zamierza wszystkie te urzędzenia zebrać w jeden artykuł — dla wytworzenia ogólnego obrazu zorganizowanej pracy kobiecej.

Na zachodzie praca ta daleko żywiej niż u nas zajmuje ogół społeczeństwa. My jeszcze mówimy sobie: „Jakoś to będzie“, gdy kobieta znajduje się bez środków do zarobkowania, obciążona liczną rodziną, lub choćby tylko niezamężna, ale nie mająca znikąd pomocy majątkowej. Jak w całej tak zwanej kwestyi kobiecej tak i w zakresie teoretycznym pracy kobiet postępować należy z jak największą ostrożnością — ale ruszać się, iść naprzód potrzeba. Pracę zamknąć należy w granicach istotnej użyteczności tak dla społeczeństwa jako i dla jednostki, lecz nie godzi się z obawy niebezpiecznego wygórowania, nie dawać tego, co bynajmniej miary nie przechodzi. Kobieta żyć musi, a więc i pracować powinna. W pracy wyręczyć ją może tylko majątek, mąż lub rodzina. Słusznie powiedziano, że sprawa pracy kobiecej istnieje tylko dla klas średnich a niezamożnych: kobieta ludu oddawna pracuje, kobieta arystokracji oddawna pracować nie potrzebuje. Lecz w stanie średnim zmiana kierunku wychowawczego, wprowadzenie nowej podstawy do nauczania, wdrożenie umysłu i charakteru na nowe tory jest niezbędnem. Z pracą łączy się ściśle wykształcenie — ono do pracy prowadzi. Kto nie chce odmawiać kobiecie i rodzinie jej prawa do życia uczciwego, ten jej także prawa do pracy i zajęcia odpowiednich dla niej stanowisk w społeczeństwie odmawiać nie zechce. Wykształcenie i praca z celem praktycznym zachowania bytu indywidualnego, dobrze pokierowane, wyrosłe z życia rodzinnego, w całość przykazań rodzinnych włączone i wszczepione w obyczaj — nikogo razić nie będą, nikomu złych nie przyniosą owoców. Czyż życie rodzin uciierpi co na tem, że córki nasze zawczasu przyzwyczajmy do pamiętania o swym losie, że im damy siłę na oparcie się nędzy, energję na różne przejścia w małżeństwie, które tyle kobiet łzami już oblało? Czyż koniecznie kobieta ma wnosić pod dach męża swoją samodzielność

ekonomiczną, czyż będzie błogosławić przemysł z jednej, szkółki frebrowskie z drugiej strony, zato, że ją uwalniają od zajęć matki i gospodyni domu? Czyż koniecznie ma sobie mówić, że szlachetna ambicja męża, aby pracować na żonę i dzieci jest tylko przestarzałą pychą — i ona, kobieta, jeśli nie z potrzeby, to dla samej dumy pracować będzie? Czy te i inne jeszcze obłedy indywidualizmu nieuchronnie z samego jego rozwoju wynikać muszą? Jeśli są jakie niebezpieczeństwa, to istnieją one już dzisiaj w upadkiem życia rodzinnem, w zatacającem się coraz bardziej poczuciu wspólności rodowej.

Pracy zatem i wykształcenia nowego — bez zrażania się sarkaniem krytyków, którymi powoduje częstokroć tylko ślepa, bezwiedna zawiść mężka. Nie czytałem jeszcze pracy większej systematycznej, któraby właściwie stanowisko kwestyi kobiecej u nas określiła. Napisano paręset pięknych kart o „Pracach kobiety“. Jabym uważał za pożyteczniejsze dzieło o pracy kobiecej. Radbym w niem ujrzeć wytknięte granice, obszaru, na jakim kobiecie ekonomicznie i intelektualnie działać wolno, tak, aby przez tę jej działalność idea rodziny żadnej, najdrobniejszej nie doznała krzywdy, a społeczeństwo na zastąpieniu pracy męskiej kobiecą, w części lub w całości pewnych powołań społecznych, dalekie od strat, przeciwnie, widoczną odniosło korzyść. W takich bowiem tylko warunkach reforma kobieca mieć może za sobą rację rozsądną — i nie wątpię, że ją w życiu mieć musi.

\* \* \*

Wspomnieliśmy o prawach kobiety. Zanotujmy że kanton Schwyz, jeden z trzech najdawniejszych w konfederacyi, nadał kobietom prawo uczestniczenia we wszystkich wyborach gminnych po wsiach i miastach. Kobiety chciały praw politycznych, lecz tych im — powiecie może: „zawiść mężka“ — nie, trzeźwy pogląd na psychologię i politykę — odmówił. W Anglii ze śmiercią Milla idea równouprawnienia politycznego spi w posagowych kształtach swoich i bodajby spała jak najdłużej. Na nadchodzącej sessyji parlamentu ma ją znowu rozbudzić niejaki p. Forsyth, który kołatał nawet o poparcie do pierwszego ministra Dizraelego, a rzeczywiście zyskał je podobno już u jednego z ministrów wydziałowych. Dotychczas z emancypacją polityczną kobiet występowali w Anglii ludzie postępowi, do jakich należał Mill, albo zupełnie radykalni, jak naprzykład Fawcett. Skruszenie kopii przez konserwatystów byłoby oznaką coraz bardziej rozszerzającej się propagandy emancypacyjnej. Forsyth proponuje nadanie praw tylko pannom i wdowom. Ciekaw jestem co byłoby dla kobiety angielskiej ponętniejszem: prawa polityczne czy kajdany małżeńskie?

Z Ameryki dochodzą wieści pocieszające o poczynającej się tam reakcyi przeciwko postępowemu ruchowi kobiecemu, któryby wstecznym postępem nazwać można. Reakcyja wyszła od samych kobiet. Zaczęły one wreszcie poznawać, że nieograniczony, żadnymi ideałami zachowawczemi nie krepowany indywidualizm w konieczny rozstrój społeczeństwo wprawiać musi. Rzadsze są dziś *małżeństwa duchowe*, amerykański wynalazek, w którym żona z wiedzą męża zapisanego do akt stanu cywilnego, może mieć innego męża tylko dla swego podniosłego ducha, nie zdolnego zamknąć się w ciasnych granicach rodziny.... Córki Amerykańskie nie używają już dawnej swobody — mówimy o wypadkach pojedynczych; — mniej są *ludźmi* a więcej *kobietami*. Wreszcie matki więcej pilnują domu i dzieci niż dawniej. Wogóle, choć słabo jeszcze, objawia się jednak poprawa. Można by mieć tylko obawy co do siły, która ją wywołała, a więc i co do jej trwałości i trwałości dającej dobrze wróżyć na przyszłość. W kilku większych miastach zwrot następuje pod wpływem dewocyi, która może być drzewem cienistym, wysoko wyrosniętem, pięknem dla oka, ale jest drzewem nie rodzącem owocem i na uschnięcie skazanem.

\* \* \*

Dziwne potwory przynosi ze sobą cywilizacya. Słyszał kto przed pięćdziesięciu jeszcze laty o stowarzyszeniu ubezpieczającym piękność kobiecą!... Takie towarzystwo zawiązało się teraz w Pa-

ryzu. Korzystać z niego mogą wszystkie kobiety od 15 do 30 lat życia. Za opłatą składki i w stosunku do niej towarzystwo poręcza uiszczenie pewnej sumy na wypadek utracenia wdzięku. Która zbrzydną między 15 a 30 rokiem życia, dostanie za to wynagrodzenie pieniężne. Kwalifikacje piękności nie są wymagane przy ubezpieczeniu się — najbrzydsza nawet przyjmie stowarzyszenie, dla zyskania jak największego dochodu ze składek. Towarzystwo, jeśli tylko potrafi zyskać obszerną klientelę, robi świetne interesy — bo któraż kobieta między 15 a 30 rokiem życia zechce przynależać do tego, że nie jest piękną?

\* \* \*

Inne jeszcze dziwactwo. Książka, książka bardzo poważna, znajdowała się na sprzedaż w jednym z pierwszorzędných magazynów mód w Warszawie. Fakt ten przeszedł niepostrzeżony. Dowiedziałem się o nim dopiero z ogłoszeń na ostatniej stronie dzienników. Co za świetne interesy dla księgarstwa, gdyby się z modą sprzymierzyć mogło, gdyby to samo gorączkowe pragnienie, z jakim nabywane są aksamity i atłasy, przenosiło się i na książki! Gdyby księgarz był kupcem modnym, a jego towary artykułami mody! W obecnym wypadku wiecie jak się skończyło przymierze rozumu z modą? Książka pozostała nierozkupiona, a magazyn już nie istnieje.

## NIEMIATA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA (1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Uwagi nad Gertrudą. — Spowiedź jej. — Trzech pisarzy zgasłego wieku — Elżbieta z hr. Krasieńskich Jaraczewska. — Jej życiorys. — Pomieszkanka na wsi. — Zajęcia.

Zatrzymaliśmy niedawno dłużej uwagę czytelników nad wybitną postacią młodej i pięknej Gertrudy i doli jaką przechodziła, albowiem w niej mamy typ niewiasty polskiej z okresu, który właśnie nas zajmuje. Zwrócona z drogi właściwej, którą szły dziewczęta nasze, wychowaniem klasztorne, żywego usposobienia, gorących uczuć serca, bujnej fantazy, co wszystko tłumila ciska celi zakonnej, wyszła w świat, nie mając stałego celu życia i zaspokojenia gorących pragnień, które w niej naraz rozpoczęły zaciętą walkę. Bogata po rodzicach, otwiera najprzód salon w Warszawie, ażeby w gwarze światowym znaleźć zadowolenie; wkrótce rozczarowana, inną myśl powzięła. Przekonana, że małżeństwo jest koniecznym warunkiem przyszłości kobiety, podjęła próżność, bez namysłu oddaje rękę swoją staremu Wojewodzie, ale i tu znajduje nowy, boleśniejszy jeszcze zawód. Wyższa duchowo, myślą, uczuciem, energią, która w niej się coraz silniej rozwijała, patrząc na niedołężność starca, chwytając ster władzy zarządu całego, wydzwiga z upadku magnacką fortunę, wywołując podziw i uwielbienie nietylko złamanego laty własnego męża, ale tych wszystkich, którzy więcej byli zblizeni i lepiej ją poznali. Kiedy spełniła jednakże swoje zadanie, spostrzegła, że gdy dobrze i rozumnie działała z jednej strony, kiedy zaspokoila żądze chwilową zajmowania stanowiska *głowy domu*, z drugiej, nie znajdowała dla siebie żadnej pociechy, a dla serca, które dopominało się praw swoich, żadnej nadziei!

Błąkała się po strojnych teraz jej staraniem i nakładem obszernych komnat i salach wielkiego zamczyska, po ogromnym ogrodzie, a w samotnej zadumie, sama siebie pytała, gdzie znajdzie szczęście, o którym marzyła jeszcze w murach klasztoru?

Mimo zewnętrznego pozoru nabożeństwa, nie wyniosła z celi rzeczywistej wiary i szczerzej pobożności, jaką się odznaczały dziewczęta z dworów wiejskich, wychowane pod okiem czułych a zacnych matek swoich; nie mogła więc znaleźć jak tamte,

prawdziwej pociechy z modlitwy i anielskiego utlenienia pod krzyżem Zbawiciela, albo wizerunkiem *Boga Rodzicy*.

Przestrach ją niesłychany ogarnął, (jak mi sama opowiedziała, spowiadając się otwarcie po dziesięciu latach pożycia małżeńskiego, jako matka trzech synów dorodnych i pięknej córki, osobliwie podobnej do swej rodzicielki), była bliską rozpacz, kiedy szczególnie wypadek dał jej poznać *Pawła Niemirę*.

Bliska śmierci, unoszona przez rozruchane konie w szalonym galopie, przejęta trwogą, straciła przytomność, gdy się on nagle jej oczom pojawił, w całym uroku męskiej piękności, siły i odwagi.

W tej jednej chwili poczuła niższość swoją, lecz zarazem zachwyt i uwielbienie dla tej wyniosłej postaci, z pochmurnym czołem, a jednak tak dorodnej i porywającej.

Skamieniała, nieruchoma jak posąg, siedziała w swoim kabryolecie. Dopiero pod dachem skromnego dworku Niemirów odetchnęła całą pierś swobodnie.

Widok sędziwej matrony, miał dla niej urok szczególny, a jej syn obudził pierwsze uderzenia serca, pierwszą miłość młodej kobiety.

Teraz zaczęła nowe życie; nieznane uczucia przepełniały całą jej istotę — świat dla niej wydał się piękniejszym, czuła że go kocha, a sama przykuła się dobrowolnie do zgrzybiałego wojewody.

Miała chwile rozpacz, płacz rzewny ulgi jej przynieść nie mógł, a modlić się szczerze nie umiała. Myśli wzburzone nawałem mała jej głowy nie rozsadały.

Po długiej walce z sobą, odwiedziła w *Podlesiu* były dla niej cudownym balsamem na rany bolesne serca — dostrzegła bystrem spojrzeniem, że ją kocha wybawca, że jej miłość uwieczniona wzajemnością.

Za ostatnią bytnością u Niemirów postanowiła niezłomnie zażądać rozwodu i gdy wracała do zamku, który się jej wydawał jako smutne więzienie, otrzymała wiadomość o chorobie męża, z której już nie powstał.

— W tej chwili (mówiła mi) nie umiem opowiedzieć co się ze mną stało. Bóg że to sam — przypiesza ziszczenie myśli moich i tak prędki rozwód daje? Wbiegłam do komnaty Wojewody, leżał nieprzytomny. Siwizna głębia i wybladłe, pomarszczone oblicze, nie obudzały jak dawniej wstrętu we mnie, ale litość jedynie. Rysy twarzy pociągłe, surowość poważna, głowa z wyniosłym czołem, robiły go wielce podobnym do wizerunków jego *antenatów*, które wisiały w złocistych ramach w wielkiej sali zamkowej. Uklękłam przy jego łóżu, pragnęłam, aby mnie zobaczył, ale starzec leżał jak głaz martwy z zamkniętymi oczyma. Wbiegłam do mej sypialni, strwożona, mało przytomna. Jakże mna uczucia miotają? Niewiem. Ale pierwszy raz, gdy ujrzała obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym gorzała jasna lampa — uczułam pociąg nadzwyczajny do modlitwy.

Rzuciwszy się na kolana, gdy łzy wytrysły strumieniem ulgę przynosząc zbolełemu sercu, mogłam się modlić szczerze i ze skrucą i powstałam ukojona i pocieszona.

Odtąd towarzystwo matki Pawła, błogi wpływ na Gertrudę wywarło, a miłość reszty dokonała. — Poznała, że prawdziwe szczęście ani w majątku, ani w dostojenstwie światowym nie polega. Dobre przymioty z ojca i matki, przytłumione, ożywiały się w niej, jak kwiaty zwiędłe na żyznej roli, pod bujną rosą i promieniem ciepłego słońca.

— Byłaś pani szczęśliwą? zapytałam, gdy mi opowiedziała szczerze, przegody swojego życia.

— Byłam i jestem szczęśliwą! odrzekła mi na to z rozpromienionym obliczem, a oczy jej pełne życia, młodzieńcem zajaśniały blaskiem.

— Mąż, mój drogi Paweł, kocha mnie jak dawniej i szanuje; dzieci otaczają swoją szczerą miłością — a jeżeli jaka troska dojmie lub boleśnie zadrasnie, przed obrazem Boga Rodzicy składam gorącą modlitwę, znajduję spokój i nieczem nie zamącone szczęście.

Matka Pawła była dla mnie jakby moją rodzicielką, ona wykołysała naszą działość a swoje wnuki, usnęła w Bogu w pięć lat: Mówię, usnęła, bo Bóg dobry, dał jej śmierć lekką. Po spowiedzi wielkanocnej wróciwszy z kościoła zdrzemnęła się w swoim fotelu, otoczona wnukami, które u jej stóp radośnie igrały i już się więcej nie obudziła....

A przy tych słowach pani Gertruda, której oblicze zachowało wyraźne ślady uroczej piękności, pochylała smutnie głowę i łzy w oczach jej zabłysły.

\* \* \*

Kiedy będziemy mówili o typowych postaciach niewiast z okresu pierwszych lat dwudziestu naszego stulecia, które się odzwierciedliły w utworach literackich, znajdą czytelnicy usprawiedliwienie tej opowieści, bo nieraz przypomnieć sobie będziemy musieli piękną Wojewodzinę.

W ostatnich latach zgasłego wieku, urodziło się trzech pisarzy, którzy następnie w utworach swoich dali nam wierne malowidło ludzi i czasów z dwudziestu lat pierwszych naszego stulecia. Między tymi była jedna niewiasta *Elżbieta z hrabiów Krasieńskich Jaraczewska*, a dwaj inni: Fryderyk hr. Skarbek i Aleksander hr. Fredro.

Skarbek urodził się w tym samym roku, co Jaraczewska w 1792, Fredro o rok później.

Opatrzność odmówiła autorce naszej wszelkich zewnętrznych wdzięków ciała: była niskiego wzrostu, ułomna nieco, oblicze nie odznaczało się regularnością rysów, oczy tylko miała wyraziste i pełne życia. Odmówienie zwykłych darów kobiecej urody i powabu, Bóg jej wynagrodził darami pięknej szlachetnej duszy i talentem znakomitym pisarskim. Umiała z tej jego szczodroty korzystać, nie dla siebie, ale na pożytek społeczności, dla zostawienia po sobie wdzięcznej pamięci.

Od lat dziecińczych odznaczała się żywą i bujną wyobraźnią, zadziwiająca pamięcią i pojętnością.

W krótkiej, bo lat czterdziestu niespełna pielgrzymce ziemskiej, godnie się wywiązała z obowiązków żony i obywatelki. Odebrawszy, jak zwykle u nas w zamożniejszych domach, wychowanie francuskie, sama oceniła należyte ten fałszywy kierunek, dawany młodym polkom, i w przedmowie do pierwszej powieści swojej *„Zofia i Emilia“* (Warszawa, 1827 r., dwa tomy) ostrzega czytelników: „Iż pisząc jedynie w chęci być użyteczną, choć ze wstydem wyznaję, mało oswojona z pisaniem w oczystej mowie, wiele przeciwko niej błędów popełnić mogłam.“

Gdy doszła do lat dwudziestu dwóch życia, jakkolwiek zdarzała się jej sposobność pójścia za mąż, pragnęła pozostać wolną, a chcąc ustalić swoją przyszłość, postanowiła wstąpić do *Kanoniczek* w Warszawie i wyrobiła sobie u nich przyjęcie. Inaczej los jej przeznaczył: jeden z przyjaciół rodziny Krasieńskich, umyślił ją wyswatać z dawnym swoim kolegą wojskowym *Adamem Jaraczewskim*, którego szczerze kochał i szanował.

„Z początku, (mówi *Ludwika Ossolińska*, która skreśliła najdokładniejszy życiorys naszej autorki), wahała się nieco, gdyż obawiała się wniknąć w owe rozliczne związki ziemskie, wśród których tak rzadko umysły wyższe i serca zbyt drażliwe, czułe znajdują szczęście. Wahanie się to przecież ustało, gdyż się szczerze przywiązała do zacnego człowieka, rzeczywiście ją cenić umiającego. Nie długo po ślubie udała się z mężem na ciągły pobyt do majątku w Lubelskiem położonej, gdzie przez lat kilkanaście przemieszkiwała.

„Przez ten tak długi przebieg czasu, nie pożałowała Jaraczewska swego wyboru. Mąż jej był wzorem prawości, rzetelności i tych wszystkich przymiotów, cechujących prawdziwie szlachetną naszego rodu duszę. Kochając go też szczerze, nie zatęskniła nigdy w swem miłym zaciszu, do obfitego w rozrywki świata. Prócz licznych umysłowych zatrudnień, które jej żywość wyobraźni koniecznymi czyniły, dogadzała jeszcze wrodzonej tklivosti serca, zajmując się przedewszystkiem powodzeniem swoich włóścian, ukształceniem ich i moralnością. Wiedząc, iż w każdym stanie, religia jest najpewniejszym źródłem oświaty i szczęścia, postarała się najprzód o gorliwego proboszcza. Chęć mu osłodzić i ułatwić pierwsze w piękny i uczynny leż ciernistym zawodzie kroki, dopomagała częstokroć jego apostołskim pracom i staraniom, czy to w odwiedzaniu chorych, czy w pocieszaniu strapiionych, czy w pojedynowaniu zwaśnionych.

„Mając wzgląd na szczupłość funduszu okolicznych księży, nie pozwalając im nabywania dobrych i pożytecznych książek, utworzyła swemu proboszczowi małą, lecz wyborową biblioteczkę

złożoną z najlepszych dzieł duchownych i religijno-moralnych, z upoważnieniem pożyczania tychże, wszystkim sąsiednim kapłanom. Przez lat kilka wciąż i do chwili niemal zgonu pomnażała ten zbiór szacowny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SOFONISBA

### TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajnert.

(Dalszy ciąg).

#### AKT IV.

(Wnętrze namiotu, — na prawo niskie łóżko polowe, okryte skórą tygrysią, — na lewo stół skromny).

#### Scena 1.

Sofonisba w myślach pogrążona, siedzi na łóżku. — Batu trzymając w ręku czaszę z owocami, wchodzi w głąb sceny.

BATU

Królowo!

SOFONISBA

Czyś ty, Batu?

BATU

Przebaczenia

Za me troskliwe rady, napomnienia!...  
Czyż się nie zechcesz posilić, królowo?  
Drugi raz słońce nam gaśnie nad głową,  
Jakośmy pana pogrzebli wspaniale,  
A ty posiłkiem wszelkim gardzisz stale.  
Sen cię nie skrzepił jeszcze. W nocnej głuszy  
To szukasz swego obozu, to potem  
Jakbyś ognistą strzałę miała w duszy,  
Wracasz, noc całą kroczyć pod namiotem.  
I teraz w myślach ponurych zawzięcie  
Toniesz, samotna. O, rzuć to zaklęcie!  
Wyrwij się z niego, ocknij, przemów przecie!

SOFONISBA

Twe rady słuszne. Siadaj!

BATU

Bo na świecie  
Godzi się, pamięć zmarłych ucześć łzami,  
I nad drogiemi pobiadać zwłokami;  
Lecz niech zgryzota nie gnębi nas owa;  
Ściśniętej piersi niosą ulgę słowa,  
A gdzie słów niemoc, tam je łzy wspierają.  
Ty zaś się trawisz, milcząc. Powiadają:  
Żal wielki trapi zmarłych niepokojem.  
Gdyby mąż wiedział, jak bolejesz rzewnie,  
Samby to zgał.

SOFONISBA

O, tak, gdyby w mojem  
Sercu mógł czytać, zgałaby je pewnie.

BATU

Toż przyjm pociechę. Znowu podnieś w niebo  
Swe czoło, z twarzą pogodź się potrzeba,  
Abyś w godzinie, co ci bezwątponia  
Nagle odkryje ścieżkę wybawienia,  
Była gotową. — Ja się twej odrzacie  
Do wrogów naszych nie dziwię, prawdziwie.  
A jednak, wybac, byłoż to na razie  
Ofiary Scypia odpychać w gardliwie?

Wino, owoce, posiłek by dały,  
I senby, może, ów kobierzec miękki.  
Przyniosły dla twej głowy tak omdlałej.  
A nawet słowo roztropnej podzięką  
Wzrokby uspiło stróża.

SOFONISBA

Ani słowa!

Nad łaski wroga milsza plesń grobową.

BATU

Lecz rozważ.

SOFONISBA

Mogę rozważyć jedynie,  
Że on Rzymianin, że on w Kartaginie  
Stokroć przeklęty. Czyż tego, niestety!  
Nie dość już dla mnie!

BATU

Słpe są kobiety  
Z miłości, a ty z nienawiści.

SOFONISBA

O tę  
Ach błagam bogów wieczystą ślepotę!  
Taka ciemnota — uleczyć mnie może —  
Kto tam? — On? Scypio! och, potęgi Boże!

(Wchodzi Scypio. — Batu milcząc, wita go ze skrzyżowanymi rękami na piersiach, i odchodzi).

#### Scena 2.

Sofonisba. — Scypion.

SCYPIO

Przychodzę w twego namiotu ustronie,  
By cię odszukać, księżno, — zbyt surowo  
Kryjesz przed nami w umartwień osłonie  
Oblicze swoje. Choć przyjazne słowo  
Przyjmij przychylnie, jeśli wzgarda wzbrania  
Aż dotąd przyjąć szczerzej gościnności  
Nieme oznaki.

SOFONISBA

Czyż może być łania  
Gościem u wilka? — Zostaw mnie w cichości!  
Tu mi tygrysia skóra jest za łożo,  
A spadłe z drzewa oliwki jedzenie  
Dają, gdym głodna. Co nadto być może,  
Już nie przystoi jeńcowi.

SCYPIO

Ja cenię  
Moc dumy twojej, — i zwalczać jej nie chcę.  
Lecz nagiąć lekko dla twej pomyślności,  
Jak owoc zgina gałąź. Że nie łechce  
Już twego życia blask marnej próżności,  
Ja to pojmuję. Lecz się uda może  
Coś udogodzić, mniej przykrości sprawić  
Wśród smętnych myśli. Mówią, że się bawić  
Lubisz oszczepem i łukiem w przestworze,  
I jak Dyana w trop pohulać dziecizy.  
Wyrusz więc, użyj myśliwskiej słodyczy!  
Daj tylko słowo, że nie zbiegniesz pani,  
A koń i oręż, smycz i sokół w drogę  
Już są gotowe.

SOFONISBA

Przestań! Czyż otchłani,  
Która rozdziela nas, zapomnieć mogę?  
Ja mam od wroga? —

SCYPIO

Winnas żeń brać wzory,  
Że wielki umysł do przebaczeń skory,  
A więc ufnością wynagrodź ufnemu. —  
Dłoń, co twym ranom balsam niesie, czemu  
Hardo odpychasz od siebie w cierpieniu?  
Nie, sama sobie dopomóż w leceniu!  
Oto, z tych cieniów posępnej niedoli  
W rozkosze bytu wywiodę cię chętnie,

Wskaż tylko drogę. A gdy ci jest wstrętne  
Od Rzymianina, od obcego woli  
Doznać pociechy, to wydadz skinienia  
Bliższemu tobie. Massynissa władny  
Spełnić twe chęci.

SOFONISBA

Och! pomocy żadnej  
Z tych rąk. — Ja widzę, cenię twe życzenia,  
A choć dla ciebie i słowa podzięką  
Nie znajduję w duszy, to na karb krnąbrności  
Serca mi policz! Nie chcę łask, litości.  
A najmniej z jego wstrętnej dla mnie ręki.

SCYPIO

Wybacz, żem dotknął serca tajemnicy  
Bezmyślnie, którą masz w bolesnym wstręcie.  
Nie win mnie przeto! Wiem ja, na strażnicy  
Praw swoich życie zawsze stoi mężnie,  
A gdzie zrządzenie naciera potężnie,  
Tam zwolna gaśnie przeszłości roszczenie.  
Lecz tyś zbyt młoda, by zerwać z nadzieją;  
Dozwól więc myśleć, że szczęścia promienie  
Po tylu smutkach znów ci zajaśniają  
U serca mego drucha.

SOFONISBA

Nie, na wieki!

SCYPIO

Nie głoś tak przysięg. Mogliby bogowie  
Wziąć cię za słowo.

SOFONISBA

O! tak, niech w tem słowie  
Prawdę czytają. On mi już daleki,  
Rozbratem wiecznie, bo — moce wieczyste!  
Cóż mówię!

SCYPIO

Śmiało dokończ: bo on z nami,  
Z Rzymem znów trzyma.

SOFONISBA

Z Rzymem. — Nie, zaiste!  
Przed tobą fałszu nie mogę słowami,  
Ani pół prawdą chytrze się osłaniać.  
Nietylko krwi mej kartagińskiej, ale  
I sercu memu on wiecznie stracony.  
A choćby jeszcze dziś przestał się kłaniać  
Rzymowi i jak niegdyś głosił w szale,  
Przyrzekł mi wszystkie Afryki korony  
U nóg położyć, ja nigdy mu żoną  
Nie będę — nigdy!

SCYPIO

Więc, na Jupitera,  
Dziwną się kryjesz tajemnicie zasłoną.  
I Sfinx nie zadał zagadki tak ciemnej.  
Wszak, niepojęta! wola twoja szczerą  
Świeżo zawarła z nim związek tajemny?  
Wszak, by co prędzej stwierdzić go, zbroiłas  
Pierś mu w pancerny spiż, wszak się ważyłas  
Na czyn, co siły przechodzi kobiety?  
A teraz w zgrozie cofasz się z swej mety,  
Jakbym ci wskazał straszną twarz Gorgony?  
Jak to mam pojąć?

SOFONISBA

Nie zerwiesz zasłony  
Z myśli mych, sama ich nie znam. Do woli  
Sądź, co chcesz o mnie, żem słaba, zdradliwa.  
Ślepa zabawka kapryśnej swawoli —  
Nie, nie tak! Raczej myśl, że do mnie spływa  
Bóg litościwy w świetle błyskawicy,  
I przed zwierzchniem sercem teraz właśnie  
Pierwovzór mojej objawia tęsknicy....  
O, stoi tu już, — nigdy mi nie gaśnie  
Z czoła jaśnieje mu wzniosłości wieniec, —  
Ach jak odmiennym jest twój sprzymierzeniec.  
Ma on skarb zalet, prócz męzkości wiana!

SCYPIO

Czem nie jest, bądź! Jeśli jest stworzoną

Taka kobieta, by duszę młodziana  
Do bohaterstwa wzniosła,—tyś jest ona.  
Ty chwytasz serca w swych zapalów spłoty,—  
Użyj tej mocy, treść jego istoty  
Szlachetną myślą rozżar, niech miłośnie  
Przy tobie szczęście jego w górę wzrośnie!  
Na Bóstwo światła! w innym położeniu  
Jabym mu tego zazdrościł—

SOFONISBA (*wybuchając*)

Scypionie!

SCYPIO

Dość! Już za wiele! Nie chcę w twem cierpieniu  
Serca ci krajać; w to smętne ustronie  
Przybyłem pęta na wolność ci zmienić.  
Toż mą życzliwość rozważ! Od tej chwili  
Mam znak, że umiesz przecieć i nas cenić.  
Za co dank składam.—Niech się umysł sili  
Poziomy, dręczyć szlachetnego wroga!  
Kres nieprzyjaźni—to wygrana droga.  
Bądź zdrowa!

(*Odchodzi.*)

### Scena 3.

SOFONISBA (*sama*)

Jeszczeż ziemia niewzruszona?

Jest-że tam niebo nad nami? I czyli  
Świat się przerodził, a ja przetworzona?  
Rzymianin w moim namiocie, tu, w chwili,  
Gdy zamiast bryzgnąć nań potokiem krwistym  
Całej wściekłości mojego plemienia,  
Ja przed nim wstąpi, znękana, srebrzystym  
Słów jego dźwiękiem słuch poję, jak łani,  
Gdy głos przewodni posłyszysz jelenia!  
I chwila jeszcze, a serce szalone  
Wszystkoby przed nim położyło w dani.  
Co dla mnie samej było utajone!  
Płyńcież lzy wstydu! Pęknięcie upusty  
Głębin, niechaj mnie zamęt wiekuisty  
Pochłonie!—Darmo! Darmo! wy kłamiecie  
Krople burzliwe! Tak nie płacze przecie  
Żal, tak się raczej topią lody twarde,  
Kiedy je Młodzian-Słoneczny całuje.—  
O, cóż się z tobą stało, serce harde?!  
Bezbronne—pijesz zachwyt, co cię truje.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## HISTORIA

## O JANASZU KORCZAKU

### I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(*Dalszy ciąg.*)

Miecznikowa odpowiedziała mu uśmiechem. Znajdowała ten ton młodzika, *du dernier galant*. Bardzo się jej to podobało. Spojrzała na Jadzię: ta ze spuszczonej oczyma stała, nie zdając się smakować w zagajonej rozprawie o medycynie serca.

Matce się dziwnem wydawało, że Jabłonowski tak na dziewczęciu mało czynił wrażenia. Chociaż czas był nie potemu myśleć o czem innym nad to, co dolegało, pomyślała znowu, iż Janasza należało oddać koniecznie. Czuli, że ta braterska miłość bez wiedzy niewinnej Jadwisi na inną wcale zmienić się w jej sercu musiała.

Kasztelanic pił za zdrowie Miecznikowej i panny Jadwigi razem, szukając jej oczyma, gdy kieliszek mu o mało nie wypadł z ręki.

W pierwszym podwórzu jakby jednym głosem i z jednej piersi zaryczał krzyk dziki. W tej chwili w okna wieży uderzyła łuna światła.

Jabłonowski nie zegnając się, wybiegł po wschodach. Ludzie na dole biegali jak oszaleli, pokazując palcami do góry, potraciwszy głowy. Z dolnego zamku ciągły ryk i jęk płynął. Gdzieś w dali odpowiadały mu wiski tatarskie. Kasztelanic zrozumieć nie mógł co się stało. Biegł przez podwórze sądząc, że Tatarzy powtórnie od parowu napadli, gdy ludzie własni zatrzymali go, pokazując mu dach na murowanym domu, w którym niegdyś mieszkał Dorszak, płonący w dwóch rogach, już rozżarzonem płomieniem.

Zkąd się tam ogień mógł wiać na strychach? Nikt inny jak zbrodnica ręka, podłożył go nie mogła. Przerazenie ogarnęło wszystkich. Łatwo było Tatarom korzystając z niego i z łuny, która biła do koła, napaść z której bądź strony zamczysko. Jabłonowski rozrachował łatwo ogrom niebezpieczeństwa....

W progu wieży Agafia stała z Horpynką, a dziewcę łamiąc ręce, wołało płaczliwie:

— Tatiana! Tatiana!

W tej pierwszej chwili wszystko zależało na utrzymaniu porządku, na rozdzieleniu sił....

Wody do ratunku nie było.... wiatr niósł płomień coraz rosnące, na inne dachy stare, cały zamek łatwo mógł spłonąć i w gruzach zasypać wszystkich.... Zdaje się, że dzicz tatarska musiała to przewidywać i czekać tylko na ogień, bo po nad parowem zjawił się tłum, który strzałami sypać i wrzaskiem popłoch wzbudzić usiłował. Chwila była nad wyraz straszna, stanowcza. Z początku wszyscy stracili przytomność, ratunek zdawał się niepodobieństwem, lecz wnet przytomniejsi się znaleźli.

Nikita krzyczał, że należało dach rozrywać, aby się nie dać szerzyć ogniovi. Siekiery znalazły się w wozach u ludzi, drabin kilka było pod murem, śmielszych garstka ofiarowała się na dach.

Nikita chwyciwszy topór, który mu podano, chciał dać przykład i wpadł do murowanego domu, aby próbować ratunku ze wnętrza. Wyłamano drzwi, dymu już było pełno.... W progu jakieś ciało leżało zapierające drogę. Nikita schylił się i poznał uduśzoną od dymu Tatianę, która jeszcze w konwulsyjnie ściśniętej ręce trzymała drzazgi i siarkowane nici. Nie próbując ją cucić, po ciele jej wpadł dalej, inni poszli za nim. Środek dachu zdawał się jeszcze niezajęty od ognia, ale dla gęstego dymu, który oczy wyjadał, trudno było postąpić dalej. Musiano się zwrócić ku drabinom, i po nich wlaższy dach rąbać.

Jabłonowski zostawiwszy ratunek od ognia Nikicie, sam już tylko pilnował rozstawiając ludzi z rusznicami, ażeby z popłochu nie skorzystała orda. Do koła widać ją było stojącą w dolinie.

Pożar tymczasem coraz się powiększał, ogromne płomieni snopy, chylone od wiatru rzucały się ku dachom jeszcze nietkniętym, których nie było czem ani oblać, ani komu wczas rozerwać. Wprawdzie gromadę z dolnego zamku popędzono do ognia, ale starcy, kobiety, wyrostki, mało co pomódz mogli. Część dachu zawałiła się na pułapy.... belki gorzeć zaczynały.

Miecznikowa z Jadwigą, obie blade i strwożone zeszły milcząc, czekając co Bóg ześle. W tem z górnego piętra usłyszały biegnącego człowieka.

Jadzi uderzyło serce. Był to Janasz, który burkę narzuciwszy na siebie, leciał na ratunek. Dziewcę chciało go wstrzymać, lecz jak obłąkany wysłiznął się jej z rąk i pobiegł na pierwsze podwórze. Kilka kroków za nim zrobiła Jadzia, matka milcząc chwyciła ją za rękę i wstrzymała.

Janasz pierwszemu, którego spotkał, wyrwał z rąk siekiere i rzucił się na drabinę. Miał gorączkę i odzyskał siły. Nikita i on dostali się na dach budynku i w płomieniach rąbali co napadli, gorejące głównie strącając w podwórze, gdzie je ludzie gasić mogli.

Za nimi dwoma poszli drudzy. Przerabano w środku dach, aby przerwać drogę płomieniom. Gruba nalepa gliny na górze nie dała belkom rozgorzeć. Wciągano wiadra z wodą i polewano głównie. Pożar się zmniejszał.

W kilku miejscach zapalone dachy zdołano natychmiast ugasić. Nikicie i Janaszowi winien był zamek ocalenie swoje.... Tatarzy widzieli czujność wszędzie i z chwili trwogi skorzystać nie mogli.

Gdy ostatnią gorejącą płatew nogą na dół stracił Janasz, zachwiał się sam, głową upadłby na rozżarzone resztki krokwi, gdyby Nikita go nie pochwycił.

Korczak znowu zasłabł był z wysiłku, a krwią płynął cały. Silniejszy od niego wziął go na barki dworak i z pomocą ludzi zsunął na dół po wątej drabinie. Tu go znalazł ksiądz Żudra, który w milczeniu ręce zafamał.

— Ten chłopiec bo szuka śmierci! zawołał, było by się bez niego obeszło.

— Przepraszam jegomości dobrodzieja—rzekł Nikita, gdyby nie on, a troszkę ja, to byśmy się byli wszyscy na pieczyście dla Tatarów upiekli. Jam tylko patrzył i dziwowałem się, jak on rąbał i zkąd on brał tę siłę. A to belki, któreby człek pod spokojny czas nie dźwignął, rzucił jak słomę.

Gaszono resztki pożaru, gdy Janasza ponieśli ludzie na górę. Na drodze stała Miecznikowa, zbliżyła się doń, popatrzała na bladą twarz, zafamała ręce. Jadzia podeszła za nim aż do drzwi wieży, ale matka ją odwołała, tak żałośliwym głosem żądając by została przy niej, że posłuchać musiała. Agafia, która była też w podwórzu, choć nie bardzo przytomna, ofiarowała się pójść dozorować chorego. Był też ksiądz Żudra i stara sługa Miecznikowej, tak, że mu na opiece zbywać nie mogło.

Zdawało się na dzień zanosić, gdy naostatek niepokój ten ustał i ludzie posiadali, pot ocierając z czoła.

Po jaskrawej łunie pożaru, nastąpił mrok znowu. Niebo okrywały gęste chmury, czas był jesienny, przykry i smutny.

Jabłonowski okrywając się płaszczem, obchodził ziewając mury i strażę. Jemu i wszystkim zdawało się, że do rapa przynajmniej wytechnąć będą mogli.... Nie zaniedbano jednak ostrożności i ludzi część czuwała. Nikita nie znużony, choć z ranami, opalony i zmęczony, krzątał się ciągle. Od krzyku zachrypł był i czuł w sobie gorączkę, ale na nią leczył się jak był zwykły, pijąc wodę wiadrami i wódkę po kieliszku, a nie dopuszczając choroby. Strząsnął się czasem, gdy po nim dreszcze przebiegły i szedł do nowej roboty.

Zdało mu się teraz rozejrzeć do koła. Choć od stawu nie nie groziło, wszedł powoli na basztę z tamtej strony i nie dochodząc do wierzchołka, przez jedną ze starych strzelnic spojrzął na staw. Wiatru szum głuszył słabsze głosy i wrzawę, zdało mu się jednak, iż plusk niezwykle dochodzi od wody. Staw nie był tu bardzo głęboki. Wlepiwszy weń oczy, dostrzegł Nikita na nim poruszające się postacie jakieś, których zrazu zrozumieć nie mógł; wdrapał się więc wyżej na mur i z wierzchołka zaczął się przyglądać wodzie. Jakkolwiek ciemno było, rozeznał na niej płynących z końmi w znacznej liczbie Tatarów. Dorszak zapewne musiał kierować nimi, wiedząc, iż ta część zamku, którą staw otaczał najsłabszą była i najmniej obronna, i że się ztąd wcale nieprzyjaciela nie spodziewano. Odkrycie to raziło go jak piorunem, zbiegł co najrychlej po Kasztelanica, gdyż chwili nie było do stracenia i należało się ze znaczniejszą częścią sił przenieść tam, gdzie dotąd najmniej ich było.... Jakkolwiek mury dosyć wysokie miał zamek z tej strony, a góra urwista była, nie można było ręczyć czy w niej o tajemnem jakim wniościu nie wiedział Dorszak, którego chciał użyć.

Na stawie płynące konie i ludzie zajmowali przestrzeń znaczną, a za nimi mogło pójść więcej, należało śpieszyć, póki by podwórza zamkowego nie zajęli.

Jabłonowski tylko co miał iść na górę, gdy Nikita nadbiegł i szepnął mu, że Tatarzy przez staw idą.

Nie czyniąc popłochu, trzeba było co rychlej się z tej strony obwarować. Jedna śmigownica i moździerz ustawione były ze strony przeciwniej, nakazał Jabłonowski moździerz co rychlej dźwignąć na jedną z baszt i posłał z tem Nikitę, sam zaś pobiegł niespokojny przekonać się oczyma własnymi, że rzecz, o której mu doniesiono, możebną była.

Z pierwszej strzelnicy, do której oko przyłożył, przy szarem światełku przedświtu łatwo mógł dostrzedz, iż ogromną przestrzeń stawu zajmowali Tatarowie, płynąc swoim obyczajem ze związanymi ogromnymi pękami sitowia i trzciny, które ich po nad wodą unosiły nieco. Zachowywali jak największe milczenie, rachując na to pewnie, iż nie będą postrzeżonymi i nagle najściem przerażą. Nikita

wprzód jeszcze opowiadał, że obchodząc zamek ścieżką od stawu, w tej stronie postrzegł znaki dwóch wycieczek, które zarówno z zamku jak do zamku prowadzić mogły, ale od podwórca nigdzie do nich wnijsia nie znaleziono. Dorszak mógł wiedzieć drogę i dostać się do wnętrza, nimby się opatrzone.

Posłał Jabłonowski w cichości po ludzi, po kamienie, które miaby razić można z góry, tych bowiem przygotowanych nie było. Zwrócono uwagę i pilność całą na inne strony, tę poczytując za najlepiej ubezpieczoną.

Nie można też było ogłosić z ludzi parowu i zostawić go bezbronnym. Tatarowie mogli z jednej strony uderzając na trwogę, na drugą rzucić się tem pewniej, jako na opuszczoną. Ze wszystkich chwil tej nocy niepokoju, ta się zdawała najgroźniejszą. Niebezpieczeństwo ze wszech stron było wielkie, a ludzi do odparcia go mało. Na niebie coraz widoczniej jaśniał pierwszy brzask dzienny. Dymy pożaru zalegały dolinę, nie dając dobrze widzieć poruszeń ordy.

Pierwszy raz Kasztelanie na chwilę uczuł się niepewnym co pocnie i zwątpił o sobie i losie zamku. Lecz trwało to mgnienie oka, zbiegł w dolne podwórze i lud rozłożony w niem posłał na boczne ściany, swoich i Miecznikowej ludzi, zostawił tylko kilku do pokierowania obroną, jeśli się Tatarowie i ztamtąd pokusili, najrzeczniejszych zabrał z sobą na ścianę od stawu.

Moździerz już z pomocą drągów i desek wsuwano na basztę poeichu. Nie szło i to łatwo, a choć puszczarz Kasztelanie kierował ustawieniem, miejsce samo, znużenie i noc, nie rychło dozwoliły dokończyć roboty. Kobiet musiano użyć do noszenia kamieni; wszystkie kotły zabrano do grzania wody, aby mieć wrzątek także w niedostatku innej broni.

Gdy się to działo, pierwsze konie tatarskie dosięgały wąskiego brzegu pod zamczyskiem. Nie obrachowali się z tem napastnicy, że się nie będą mieli gdzie pomieścić, gdyż struma góra prawie tonęła w wodzie. Konie więc rzucić trzeba było, a pieszo co rychlej drapać się na górę, aby innym miejsce zrobić. Znaczniejsza część przesunęła się na prawą stronę zamku, gdzie brzeg od stawu był szerszy. Szmer było słychać mimo nakazanego milczenia, i pierwsi wylądowujący nie wiedzieli co uczynić z sobą, wahali się, czekali, gdy już drudzy ze stawu parli się na wybrzeże. Motloch ten stał gęstą kupą coraz się powiększającą. Można było dostrzedz kogoś, co się zdawał dowodzić i wskazywać. Lecz wdzieranie się na opokę stromą nie było łatwym. Rozstawieni na murach ludzie, którym nakazano czekać hasła, z rusznicami w strzelnicach, wyglądali tylko rychło im znak dadzą. Jabłonowski czepiał się po murach, zaglądał, niebardzo wiedząc co począć i czy rozpoczynać.

Bądź co bądź nie było już nic do stracenia. Sam kasztelanie wziął za rusznicę, zmierzyl w ciemności ku tej kupie, w której dowódcy się domyślał, i — wypalił. Za jego strzałem buchnęły całym rzędem wszystkie, a po chwili puszczarz na los szczęścia moździerz podpał i posłał kulę, która padła na płynących stawem.

Razem z hukiem strzałów dał się słyszeć krzyk dzieciny zaskoczonej niespodzianiem. Przez otwory w murach słabe ręce pechały bryły kamieni i gruzu, wprost padające na głowy napastników. Zwinęli się Tatarzy chcąc cofnąć i wielu słychać było wpadających do stawu. Puszczony z łuków strzał, zakrytym murami wcale szkodzić nie mogli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Chemia czarnoksiężnicza umie cudów dokazywać. Stare łachmany umiejętnie pofarbowane, wyglądają jak świeże kwiaty wiosny, do atramentu wchodzi

porozawiając żelastwo; kości zwierząt stanowią główny materiał w wyrobie zapalek; obrzydliwe osady gazu węglowego, obracają się w wonne perfumy i t. p. Simmons cytuję mnóstwo przykładów użytkowywania resztek i odpadków życia, które zwykle się rzucają na śmieć. Ten cmentarz nowemu życiu treści dostarcza.

O łachmanach, z których się papier wyrabia wiedzą wszyscy. Niedaleko od piszącego wcale piękny dom jest własnością gałganiarza, który go zrobił na obrzydliwych łachmanach i nie przestaje handlować niemi, mimo iż dziś jest daleko majątniejszym od... nas wszystkich literatów.

Przed kilką laty w Londynie, dyrekcya szkółek dla ubogich dzieci urządziła z nich oddziały opatrzone koszykami i poczęła je wysyłać na zbieranie po ulicach łachmanów i śmieci. Zrzynki papieru, kawałki materii, kości, tłuszcz, kruszczone odłamki, sznurki, kapelusze, obuwie, zaczęto zgromadzać i rozklasyfikowywać. W ciągu dziesięciu miesięcy chłopaki zebrali 82 tonny odłamków takich, a oprócz tego 50,000 flaszek — osobno jeszcze worek, który zawierał milion używanych marek pocztowych, który jakiś amator ofiarował. Wszystko razem wzięte, w Londynie stanowiło pewny kapitał. Simmons powiada, że ze zrzynków skór na pozór zupełnie nie przydatnych, utartych na proch, a potem z pomocą gumy jakiejś w masę obróconych, której się grubość właściwa nadaje, w Massachusetts, robią skórę sztuczną, której ogromne ilości używane są potem na obuwie. Kości służą do wyrobu rękojeści, jeśli są świeże, wyciąga się z nich klej, starcie na proch dają nawóz, którego tonnę płacą w Anglii od stu do stu dziesięciu funtów. Przywożą go tu ilości ogromne, a speculanci (jak mówią) aż na pobojowiskach w niedostatku innych, szukają kości. Ze starych cmentarzysk egipskich masami je brano. Korespondent Timesa, pisze: „Gdy był w Saharze, widziałem dziewięć wielbłądów, które od grobów z mumiami, szły ku rzece, obładowane sieciami pełnymi kości, nie wiem ile centnarów ważących. Gdy się rozpytywać począł, powiedziano mi, że to szło do Alexandryi, gdzie kości zabierano na okręta do Anglii i mielono. Zaręczano mi, iż szczególnie pod buraki, ma to być nawóz niezrównany. Handel kośćmi idzie bardzo żywo i trwa już oddawna. Szczególna rzecz, że kości starych nieboszczyków, przed trzema tysiącami lat zmarłych, obracają się w pokarm roślin, którymi się tuczą nasze barany!”

Simmons utrzymuje, że nie się tak doskonale nie użytkowuje jak stara odzież. Handel łachmanami jest znaczny bardzo. Odświeżają się, łatają, farbują przenoszone suknie i nabierają pozoru wcale przyzwoitego. Z Niemiec i Anglii tak starzynda odmłodzona idzie w wielkich partyach do Holandyi i Irlandyi. Szczególniej suknie kobiece i części stroju ulegają tej metamorfozie, która im czasem bardzo wytworny pozór nadaje i służą niekoniecznie ubogim, ale średnim klasom chorującym na elegancję tanią. Sukno obraca się gdy jest zużyte z pomocą machin w drobne nici i kawałeczki, z których wyrabiają tak zwane Shoddy. Są to nowe sukna ze starej wełny. Z shoddy zaś już nie można zrobić tylko — nawóz, który żywi rośliny, i powraca w tej postaci znowu do wełny.

Na pozór najmniej już warte pomyje, ługi mydlane są także nawozem bardzo silnym i doskonałym... Wieleż to u nas nieużytkowanych takich odpadków ginie marnie? — Ale myśmy jeszcze tak bogaci i tyle mamy do czynienia, że możemy się niemal obejść bez podobnych spekulacji. Ludzka praca przy ogromnych ziemiach obszarach, lepiej się użytkować daje.

Od łachmanów, z których się papier robi, do książek które się z niego kleją, przejście bardzo łatwe. Znana autorka „Chatki Wuja Tomasza,” pani Harriett Beecher-Stowe, zapowiada nową powieść, na którą Ameryka i Anglia z wielką niecierpliwością wyczekują. W Niemczech już się przysposabia tłumaczenie. Powieść ma mieć tytuł „My i nasi sąsiedzi.” Zapowiadają w niej tendencyjny utwór, zachęcający do pomiarkowania w życiu.

Pani Idy von Düringsfeld ukazała się dwutomowy zbiór nowelli, pod tytułem: *Prismen* (Berlin-Pätsch). Są one rozmaitej wartości, lecz z talentem właściwym autorce pisane i zajmujące, niektóre bardzo udatne. — Z wielkim wdziękiem odmalowane jest życie Flamandów w novelli „Rzeźbiarz z Mechlina”.

Pierwsza miłość artysty, od której go losy rozdzieliły, miłość dziecięcych lat, powraca doń po latach wielu pod nową postacią, sercem mu wierna. — Niestety — artysta jej nie poznaje; biedna kobieta wstępuje do klasztoru i znajduje środek przekazania ukochanemu spadku po sobie, który upragnioną podróż do Włoch ma mu ułatwić. — Oprócz tej „Na czwartym piętrze” historia Lipska i inna tyrolska są bardzo mile pisane...

Do literatury głów koronowanych przybywa pełne wydanie pism panującego teraz króla szwedzkiego Oskara II, który, jak jego poprzednik, jest poetą. Wychodzą one w piętnastu zeszytach w Stockholmie, a pierwszy zawiera przez szwedzką akademię uwieńczone „Ze wspomnień szwedzkiej floty.” — Król Oskar II jest bardzo uprzejmym i popularnym i zajmuje się żywo literaturą i sztuką. Pod jego kierunkiem i radą stworzoną została niedawno odegrana na teatrze Stockholmskim pierwsza opera narodowa szwedzka „Z gór uwiedzona”. Treść jej jest zaczerpnięta z podań ludowych i po części czarodziejska. Melodye szwedzkie służyły kompozytorowi do nadania jej kolorytu... Król Oskar II i w napisaniu libretta i w przedstawieniu tego dzieła miał mieć udział bardzo czynny.

Na scenach niemieckich nowości mało; uskarżają się wszyscy i może mają słuszość, że teatru służą nie do przedstawienia jak najdoskonalszego dzieła poety, ale do popisu wirtuozów... Brak całości... solista zabija wszystkich i odbiera im ochotę i energię do gry, bo mu służą tylko do — odpowiadania. W Berlinie popisuje się słynna Clara Ziegler — ale z bardzo różnem szczęściem. W Maryi Stuart Schillera grywała zwykle Elżbietę, teraz chwyciła się tytułowej roli i — ta się jej zupełnie nie powiodła! Tak samo pan Sonntag, popisuje się w „Hrabi Waldemarze, wielkiej komedii Freytaga... Na scenę jednego z teatrów przysposobią w braku innych pociągających widowisk, wielki dramat ludowy „Napoleon I”, przerobiony ze znanego francuzkiego i z Grabbego. — Będzie to zawsze może trochę lepsze od trójki hultajskiej, ale artystycznej wartości w tem szukać trudno.

Nowością teatralną, którą się Europa nie rychło poszczycić będzie mogła, jest chińska scena w San Francisco; na której przedstawienia po parę tysięcy dzieci niebieskiego państwa przybywa; nie licząc ciekawych innych narodowości... Dramata chińskie są straszliwie dramatyczne i pełne ruchu; śmierć gra w nich rolę nader ważną, zabijają się, mordują, biją, mszczą, gwałtują, z najokrutniejszym zapalem. Europejczycy chwala przepyszne ubiory i wspaniałą *mise en scène*. Znany teoretyków wymagających ruchu mechanicznego, gwałtownego w dramacie, którychbyśmy gotowi posłać do San Francisco, aby się nasycili i zateksnili za innym dramatycznym żywiołem, bez którego europejski teatr cywilizowanych ludzi ostać się nie może. — Lecz jakże trudno i wszystkim dogodzić, i tę szczęśliwą zachować miarę, która zmysły i ducha zarówno zaspokoić może!

## Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

### Pracownia rzemieślnicza dla kobiet w Kaliszu.

Pani Aleksandra Parczewska założyła w tem mieście i z dniem 1 września otworzyła dla użytku wszystkich kobiet czujących potrzebę wykształcenia praktycznego, zakład naukowy rękodzielniczy, w którym wykładane będą następujące rzemiosła i rękodzieła: szewstwo damskie i dziecinne, kwaciarstwo, introligatorstwo, rękawicznictwo, krój sukien i bielizny białej, szycie ręczne i maszynowe, nauka haftu i znaczenia bielizny. Uczennice przyjmują się pod następującymi warunkami: naukę szewstwa po-

(1) Gra Klary Ziegler jednakże tak silnie robi wrażenie, iż oto słyszymy właśnie o jednej pannie, która się uczuła nią natęchniona do obrania zawodu dramatycznego i zabrawszy w niebytności rodziców, pieniądze ich i różne kosztowności ruszyła w świat za sławą! Powołanie objawiło się tak gwałtownie, iż mu się zamknięta komoda oprzeć nie mogła! (Przyp. Autora.)

bierać będą za opłatą miesięczną rs. 5, codziennie godzin 4, w pierwszym półroczu uczennice wnoszą opłatę, w drugim w miarę uzdolnienia otrzymują wynagrodzenie. Pod temi samymi warunkami wykładane będzie kwiaciarstwo. Za kurs kroju sukien, okryć, szycia ręcznego i maszynowego, opłata miesięczna wynosi rs. 4, nauka 3 godziny dziennie. Również krój, szycie ręczne i maszynowe bielizny białej, nauka haftu i znaczenia bielizny; nauka obydwóch kursów trwać będzie względnie do uzdolnienia i wprawy uczennicy. Kursa introligatorstwa i rękawicznictwa nieco później otwarte zostaną, o czem ogłoszenia we właściwym czasie doniosą.

Wykładana będzie nadto buchalterya i nauka rysunku w zastosowaniu do rzemiosł, za opłatą miesięczną rs. 4 od każdego z tych przedmiotów, przy trzechgodzinnym wykładzie tygodniowo.

Nauka rzemiosł odbywać się będzie za pomocą narzędzi i materyałów, będących własnością pracowni. Uczennice po odpowiednim uzdolnieniu w obranym zawodzie, znajdą stałe zajęcie w pracowni, lub otrzymywać mogą robotę do domów. Oprócz przychodnich, pracownia przyjmuje uczennice na stół i stancję. Zapis rozpoczyna się z d. 7 sierpnia od godziny 11 rano do 4 po południu. Z chwilą rozpoczęcia nauki, pracownia otwartą będzie od godziny 9 rano do 7 wieczorem, z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych.

Zakład pani Parczewskiej mieści się przy ulicy Piekarskiej w domu p. Markowskiego.

## NA WSCHODZIE,

### USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

#### Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

Jedno tylko złe, że w ulice majmaczyńskie rzadko kiedy zagląda słońce i rzadko oświeca je dobroczynnymi promieniami; gospodarze nie wyglądają na ulicę i okna od podwórza umieszczają. Z tej to przyczyny cały dziedziniec pomalowany jest i upiększony w taki sposób, jaki widzieć można jedynie w Petersburgu, w domu Monferana. Lecz za to, że dziedzińce pomalowane są i utrzymywane w niezwykłej czystości, ulice Majmaczynu brudne są i błotniste, a latem jak mówią, na nich oddychać nie można od straszliwego odoru. Zdechłe koty i psy leżą na ulicach, a jak wiadomo, wedle zwyczaju w Chinach istniejącego, niema służby miejskiej do pilnowania porządku i skarb nie myśli wcale czynić wydatków na sprawienie narzędzi potrzebnych do utrzymania czystości.

Za najlepsze świadectwo, że miasto do którego wjechalismy jest azjatykiem, mogą posłużyć najbardziej niezgrabne w świecie zwierzęta, wielbłądy których, jak wiadomo, do Europy nie puszczają, i trzymają je jako curiosum jedynie w wielkich zwierzyńcach. Tutaj natomiast wielbłąd wykonywa najprostsze roboty, zastępuje wołu i konia, a w pozbawionej wody puszczy Gobi, jest najlepszym towarzyszem podróżującego człowieka. Oto i cały ich zastęp przed nami; przywiązane ogonami do cugli postępujących za nimi towarzyszy, poruszają się wielbłądy z ulicy do wrót miejskich tym powolnym, uroczystym, charakterystycznym krokiem, którym chodzą jedynie śpiewacy włoskiej opery. Ci ostatni jednak odzywają się zwykle inaczej i nie wydają tych dźwięków, jakie doszły naszych uszów, gdy przewodnik pociągnął idącego z frontu wielbłąda za cugle i zmusił go do

ukłonienia. Głos tego wielbłąda przypominał ryk wołu, któryby sobie gardło zaziębił. Zwierzę nagle przestraszone, ryknęło z całej siły. Przerażającym i nader niemiłym rykiem odpowiedziały inne wielbłądy, kłękając i postawiając boki, do których z każdej strony przymocowane były dwie ogromne paki,

— Z czem? — spyta.

— Rozumie się z herbata.

— Dla kogo nadeszła?

— Dla Sio-fu-juna, lub My-ju-kona, albo Ko-hu-sina—czyż to wam nie wszystko jedno?

Wszystkie te paki dostaną się do rąk rosyjskich kupców przebywających w Kiachcie. Komisyonarzy kupców moskiewskich posłał subjektów, kiachtyńscy również przybędą sami, obgadają interes, no, i zgodzą się sami.

Układy prowadzone bywają zwykle w języku umownym, który Chińczycy rosyjskim zowią; otóż ten język uznać można jedynie za jakąś potworną mieszaninę słów z tego i owego języka. Chińskie słowa zachowały wprawdzie swoją formę i brzmienie, lecz za to rosyjskie tak zostały przekręcone i pozmieniane, że w wielu niepodobna odgadnąć nawet podobieństwa do właściwych. I do tego żeby być w stanie zrozumieć z ust Chińczyka wychodzącą tę płatanię dźwięków, zrozumiałych tylko tym, którzy je umyślnie wyrozumieją, potrzeba przede wszystkim posiadać jeszcze drugi przymiot, to jest, umiejętność oddzielania jednego słowa od drugiego. Chińczyk bowiem zazwyczaj łączy jedno słowo z drugim i ciągnie je jak wielbłądy całym szeregiem. Gdy dodamy do tego jeszcze nieumiejętność Chińczyków dojsca do ładu z literą *r* i trudność niezwykłą wymówienia dwóch spółgłosek, bez wciśnięcia w pomiędzy nie jakiej samogłoski wedle upodobania, to każdy łatwo zrozumie, że język rosyjski w ustach tutejszych mieszkańców, wcale nie jest podobnym do swego pierwowzoru. Bez znajomości tego „języka rosyjskiego“, żaden mieszkaniec Państwa Niebieskiego nie puści się za granicę. Pragnący prowadzić handel w Kiachcie, przede wszystkim zamieszkuje i uczy się w Kałganie, gdzie, jak mówią, dla udzielania tej oryginalnej wiedzy, znajduje się tak zwana „rosyjska akade-

mia“ a nauczyciele jej, biedacy, utrzymują się z łaskawości kupców w Kiachcie zamieszkałych. Dopiero wtedy, gdy uczeń zdoła złożyć egzamen teoretyczny, otrzymuje bilet (nehio) nadający mu prawo do wyjazdu za wrota Wielkiego Muru. Lecz i po przyjeździe do Majmaczynu, nie może w ciągu roku zajmować się handlowymi obrotami swego pryncypała; przez cały ten czas winien praktycznie i w miarę możliwości uczyć się gorliwie pseudo-rosyjskiego języka. Dlatego to celu tajemna instrukcja, o której już wspominalismy, dana handlującym przez rząd chiński, między innemi mieści w sobie i takie postanowienia: 1. Pozwolenie do prowadzenia handlu ma być udzielonem kupcowi wtedy tylko, gdy ten nauczy się mówić i pisać po rosyjsku. Środek ten jest obowiązującym na to, ażeby Rosyjanie nie znajdowali się w konieczności uczenia się języka chińskiego, którym władając, mogliby przeniknąć tajemnicę naszego (chińskiego) handlu. 2. Kupiec po przybyciu do Kiachty w ciągu roku, powinien obznajmić się dokładnie z wszystkimi tajemnicami obrotów handlowych, dla uniknięcia pomyłek w przyszłości. Chińczycy osiągnęli w samej rzeczy cel zamierzony. Z kupców rosyjskich handlujących w Kiachcie, tylko najzdolniejsi umieją jako tako mówić po chińsku. Większość Rosyjan zmuszoną była wbrew woli własnej, kaleczyć i przekręcać swoją mowę, ażeby przygotować się do zrozumienia tej, jaką wykładają Chińczykom w Kałganie.

Znajomość z Chińczykiem w Majmaczynie zaczyna się od pozdrowienia: Hao!

— Hao! hao! mówi każdy Chińczyk zawsze na przywitanie, nie zwracając uwagi na słowa wychodzące z ust swych gości.

Musisz mu odpowiedzieć tem samem hao, jeżeli chcesz być jego gościem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

## OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20, półrocznie Rs. 3 kop. 60, kwartalnie Rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie w Urzędach i Ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10 <sup>1)</sup>, półrocznie Rs. 5 <sup>2)</sup>, kwartalnie Rs. 2 kop. 50 <sup>3)</sup>.

Od 1 Lipca wychodzą przy *Bluszczu* prócz zwykłego Dodatku obejmującego Wzory ubiorów i robót, **Mody kolorowane**.

Prenumerata wydania z dotychczasowemi Dodatkami i *Modami kolorowanemi* wynosi w Warszawie: miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; Rocznie 16.

**Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do redakcyi nadsyłać pieniądze wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z Cesarstwa upraszamy również, by żądania swoje raczyli adresować nie do Ekspedycyi Gazet, lecz do Redakcyi Bluszcza w Warszawie Nr. 41l.**

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów *Bluszcza*, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Wydawca.

<sup>1)</sup> Licząc w to za pismo Rs. 7 kop. 20, opłata pocztu za przesyłkę Rs. 1 kop. 20, za przepaskę i ekspedycję Rs. 1 kop. 60,

<sup>2)</sup> Za pismo Rs. 3 kop. 60, opłata pocztu kop. 60, za ekspedycję kop. 80. <sup>3)</sup> Za pismo Rs. 1 kop. 80, opłata pocztu kop. 30, za ekspedycję kop. 40.

**TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — Pogawędka. — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — Sofonisba, tragedia, (dalszy ciąg), przekład J. Grajnera. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet. — Na wschodzie, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.**